

Do dyskusji z widzami najlepiej są przygotowane półprofesjonalne i amatorskie zespoły wyrosłe z ruchu studenckiego, rozsiane poza teatralnymi centrami

WIETRZENIE PUDEŁKA

Tegoroczny Międzynarodowy Dzień Teatru upłynął na rutynowych, wazelinarskich pogwarkach dyżurnych redaktorów z dyżurnymi sławami peerelowskiej sceny, przy rosnącej od kilku lat obojętności widowni. Dobrze wychowane towarzystwo solidarnie robiło wrażenie, że w polskim teatrze nic złego się nie dzieje, a wręcz przeciwnie.

W tym czasie dyrektor Andrzej Jakimiec z teatru w Białymstoku ugasał zespoły z Lublany, Mińska, Wilna i Bratysławy na seriach spektakli, w których rodzimi Białorusini i Litwini mogli zobaczyć sztuki Ionesco we własnej wersji językowej. Na Białostocczyźnie jeszcze chłodno, nie mógł więc przedstawić wyprowadzić w plener, jak to w zeszłym roku uczynił z „Antygona”, wystawioną w podmiejskiej zwirowni obok cmentarzyska samochodów, czy do skansenu wsi białostockiej, gdzie na majdanie inscenizował „List z Ameryki” Bohdana Madeja. Dyrektor Jakimiec ma teatr w centrum wojewódzkiego miasta, aktorów na etatach, którym jest w stanie zapłacić najwyżej 3,5 mln zł, ale wie, że albo będzie regularnie wietrzył pudełko swojej sceny, albo się w nim udusi. Rozumie doskonale, jako jeden z niewielu dyrektorów instytucji „budżetowych”, że albo utrzyma swoją publiczność, albo zjeździe ze sceny.

Teatry zawodowe wprowadzają na scenę europejski rejestr arcydzieł w przekonaniu, że reprodukuje się pokolenia rodzimej inteligencji przynajmniej raz na pięć lat poczuć się zobowiązane usłyszeć ze sceny, o co zakładał się Faust z Mefistofeilesem lub co było stawką w sporze o pewien mur graniczny. Tymczasem na premierach widownie zapelnia miejscowa śmietanka towarzyska i dziennikarze, którzy wczoraj o tej porze świetnie bawili się

na koktajlu w centrum biznesu, a jutro spotkają się na premierze filmu z Sylwestrem Stallone. I tak

przedstawienie dogorywa przy pustoszej widowni i głośnych jeremiadach inscenizatorów na „upadek kultury humanistycznej”

czy „drastyczne zubożenie inteligencji”. Nie chcą przyjąć do wiadomości, że nawet zubożała inteligencja pozostaje od co najmniej czterech lat pod ostrzałem niezliczonych propozycji wydawniczych, kanałów telewizyjnych czy wernisarzy, które walczą o jej uwagę orężem mało u nas znanym – świeżym pomysłem. Jeżeli ubogi inteligent zde-

czas dyskusje o źródłach finansowania teatrów „państwowych” i teatralne felietony „Pegaza”. W ten sposób dokonuje się nieustępliwa rewolucja teatralna w III RP.

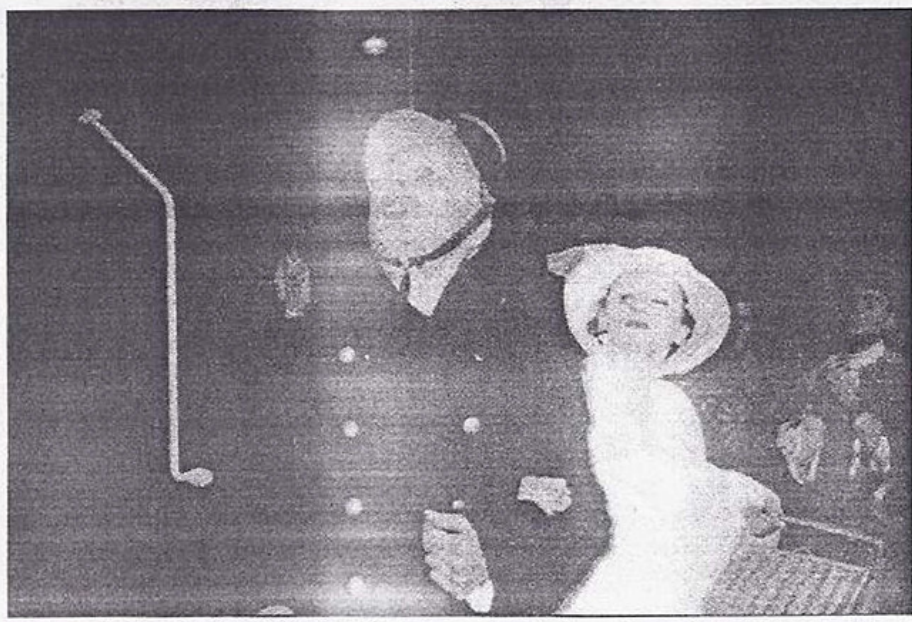
Za „szybkim Gierką”, na fali mody na porzucanie posad na politechnice i zakładanie owczarni w Beskidach, Włodzimierz Staniewski osiadł w maleńkich Gardzienicach położonych na południowy wschód od Lublina. Pod patetycznym szyldem Ośrodek Realizacji i Badań Praktyk Teatralnych grupa artystów każdego roku pakuje na wóz skromne rekwizyty i śladem średniowiecznych igrców objeżdża w kurzu i deszczu wsie, w których pozostała pamięć autentycznej wiejskiej kultury. Nie grają spektakli; przygodnej widowni proponują

„zjawiska przeszerenne”, budowane z pieśni, porzekadeł, na wpół zapomnianych zaklęć i obrzędów, szczątkowych mitów.

Wiejski plac tworzy najwłaściwszą dekorację – z naturalnym krajobrazem, z siedziskami tu od wieków mieszkańców, architektura. Nie inscenizują fabuł, wystarczy, że do ich codziennej, nałogowej konsumpcji zmusza telewizja.

Muzyczno-baśniowy „Spektakl wieczorny”, „Gusła” czy „Żywot prototypa Awwakuma” mają utwierdzić przejętą prostą i głęboką religijnością widza z odległych przygranicznych okolic w przekonaniu, że życie jest „Wielkim wędrówaniem” ku Wartościom i Przeznaczeniu.

„Węgały” zbudowały się same na ruinach popruskiej kolonii w lesie w okolicach Olsztyna. Dwa polsko-niemieckie małżeństwa wzniosły tu dom, do którego na spektakl doprowadza gości z przystanku autobusowego przewodnik z latarnią. W wiejskiej izbie słuchają ciągu polsko-rusko-hasydzkich melodii, a kiedy zostają na noc, dołączają swoje pieśni.



Teatr im. Witkacego dziesięciolecie swego powstania zainscenizował w zabytkowej kolejce na trasie Zakopane-Chabówka

cyduje się poświęcić teatrowi nieco czasu, którego ma ciągle jeszcze dość dużo, i pieniędzy, których ma ciągle zbyt mało, chce się poczuć dotknięty do żywego, zmuszony do dyskusji. Okazuje się, że najlepiej są do niej przygotowane dotychczasowe „przybudówki” życia teatralnego – półprofesjonalne i amatorskie zespoły wyrosłe z ruchu studenckiego, rozsiane poza teatralnymi centrami. To one mają nadkomplety, ciasną otoczkę fanów i zaproszenia na zagraniczne festiwale. Natomiast przytłaczająca większość wieloletnich instytucji teatralnych, zatrudniających wielkie nazwiska i twarze od lat znane z ekranu, zginęłyby w powszechnej niepamięci, gdyby nie rozniecane co jakiś

Teatr im. Witkacego w Zakopanem określa się skromnie jako „inspirujące miejsce spotkań ludzi sztuki z publicznością”. Powstał dziesięć lat temu „z niczego”, przy całkowitym braku pieniędzy, urzędowych decyzji i środowiskowego patronatu. Wyszło mu to na dobre o tyle, że założyciele nie musieli się tłumaczyć, iż swoim programem nawiązują do tradycji zakopiańskiej Łaźni Parowej, gdzie masaże robił Jan Wawrtyko: „Człowiek wyje, każdy miesiąc, każde ścięgno zdaje się obszczypane, ale za to potem ofiara Wawrtyki czuje się tak, jak łożysko kulkowe świeżo wymyte naftą i naoliwione. Wszystkie świństwa wychodzą z człowieka, a zaraz potem zaczynają żyć na nowo”.

„Wielki teatr świata” Calderona czy „Historia” Gombrowicza rozgrywają się w ludzkiej ciźbie, bo teatr zawsze ma nadkomplety,

a aktorzy najlepiej grają, wykrzykując teksty nad głowami widzów. Niedawne dziesięciolecie swego powstania teatr zainscenizował na trasie Zakopa-

Ciasnocie zurzędniczej kultury przeciwstawiali przestrzeń wielkiej, a niedostępnej wtedy literatury. W latach osiemdziesiątych wprowadzili na scenę rosyjskiego dysydenta w potatanej odzieży i z wytartym kuferkiem, deklamującego własne grepsy z internowania, ale też coraz częściej fragmenty „Księgi Hioba”, „Pieśni nad Pieśniami”, „Fausta”, „Biesów” czy „Doktora Faustusa”. Provizorium wzbudza zainteresowanie na Bath Fringe Festival czy w Newlyn Arts Gallery w Penzance właśnie dlatego, że tak daleko zostało za sobą „syndrom internowania”. Z PRL teatr wyszedł bez oglądania się za siebie i utajonej tęsknoty za komunistycznym reżimem, który inspirował niepokorną twórczość. Provizorium wskoczyło z „interny” w serce Europy.

Teatr Ósmego Dnia dorósł do opozycji wobec oficjalnej kultury już w marcu 1968 r.,

ale dopiero inscenizacje wierszy Barańczaka („Jednym tchem”, 1971 r.), a zwłaszcza przedstawienia z końca lat 70. („Przecena dla wszystkich”,

**„
Gdyby nie felietony „Pegaza”
i dyskusje o finansach,
przytłaczająca większość wieloletnich teatrów,
zatrudniających twarze od lat znane z ekranu,
zginęłaby w powszechnej niepamięci**”

ne-Chabówka w kolejce z przełomu wieków, gdzie rozegrała się historia z „Szalonej lokomotywy” z przydatkami. Kiedy pociąg wtoczył się do Poronina, wśród publiczności pojawił się okutany w żołnierski szynel komunistyczny agitator z przełomu wieków z tekstem: „Tak, na tej ziemi, tu, w Poroninie, przed żandarmami cara się krył”. Kiedy gestem ekshibicjonisty rozchylił poły płaszcza, okazało się, że jest nagi i tylko przyrodzenie zakrywa mu portret Lenina, udekorowany świeczkami jak cerkiewna ikona. Metafizyczno-tandetną fabulkę Witkacego przerywała widzom ewakuacja z pociągu i leśna degustacja piwa przy ognisku i góralskiej muzyce.

„Pamiętaj, że na straży naszych umysłów stoi mocno wczepione i ugruntowane przez nałóg przeświadczenie, że tu nie ma się czemu dziwić, przeciw czemu protestować. Przeciwny oswojony obywatel skłonny jest oskarżać o przesadę, bo nie rozumie, że ty właśnie odzyskałeś wolność widzenia” – pisał Janusz Opryński, kierownik artystyczny Teatru Provizorium w 1979 r. Wtedy to, umieszczając akcję spektaklu „Nie nam lecieć na wyspy szczęśliwe” w „sali męskiej NN”, zdecydowali, że teatr posłuży im do przekroczenia granic celi „domu wariatów”, jakim był schyłkowy PRL.

„Ach, jakże godnie żyliśmy”) uczyniły z niego zdeklarowaną scenę polityczną. Kiedy ówczesny teatr oficjalny rutynowo inscenizował klasykę, aktorzy „ósemek” recytowali te strzępy Mandelsztama, których nie zatrzymała cenzura, kotłowali się na szczudłach i obrastali otoczką młodej inteligencji, której było za ciasno w gorszej ówczesnej rzeczywistości. Fludy między nimi a publicznością najsilniej przepływały w latach osiemdziesiątych, kiedy milicyjna nysa nadzorowała uliczne przedstawienie według „Raportu z obłożonego miasta” Herberta. Zimny prysznic wolnego rynku znieśli dobrze, być może dlatego, że zakosztowali go podczas wędrówek po Europie Zachodniej w czasach, kiedy bezskutecznie wzdychało do niej niemal całe społeczeństwo. Bywali na południu Europy od kwietnia do października. Sami załatwiali kontrakty, wyszukiwali impresariów, organizowali reklamę. Zimą przeczekiwali we Włoszech, w opuszczonym budynku szkolnym. Kiedy w kraju „wybuchła wolność”, zaczęli pracę nad przedstawieniem, w którym wierność wschodniemu cierpieniu miesza się z podziwem dla cywilizacji Zachodu.

**Wiesław Kot
Natasza Socha**